NUMER 19. DNIA 11-go MAJA 1902 ROKU ROK X.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA

Muzeum Narodowe w Krakowie.

Dzienniki doniosły o pięknym darze włościanina z Wyciąż, byłego posła Wójcika do Muzeum Narodowego. Ofiarował on wykopany tam miecz rzymski dobrze zachowany, który ma znaczną wartość, lecz przeznaczenie go do Muzeum w Sukiennicach nie odpowiada celowi.

Obecny Zarząd Muzeum Narodowego z wielką starannością przeprowadza rozmieszczenie przedmiotów muzealnych. Otwarte dotąd sale wyglądają prawdziwie po europejsku, co zawdzięcza się także magistratowi krakowskiemu, który o ile może funduszami i poradą dopomaga młodemu dyrektorowi do organizacji tej instytucji, rozszerzonej teraz na całe piętro gmachu.

Cóż, kiedy każdy medal, jak mówi przysłowie, ma odwrotną, czyli tylną stronę, często lekceważoną. Otóż nowy dyrektor zbiór broni uważa za coś niegodnego dla muzeum sztuki i co się w niem znalazło z tej dziedziny, wyprowadził ze sal muzealnych na schody, używszy zabytków sztuki wojennej za prostą dekorację ścian w sieniach. Poprzybijane miecze, hakownice, przeróżne strzelby, karabele najozdobniejsze, do samego sufitu, nie mogą przecież służyć do studyj nad bronią ubiegłych wieków. Mieszczą się wśród tych zbiorów nadzwyczajnie cenne, a nawet pamiątkowe okazy z zakresu wojennego, który w Polsce niepospolitą odegrał rolę. Ofiarodawcy, składając do Muzeum Narodowego te swoje drogie skarby, myśleli, że one w niem znajdą należyte pomieszczenie i materjał dla badaczy tego działu archeologji.

Gdyby dziś te swoje dary obejrzeli, poprzybijane nad gzymsami po ciemnych zaułkach sieni i schodów, przeznaczone na zniszczenie, bo tam ich nikt nawet bez drabiny z kurzu i pary nie omiecie, toby zdrętwieli z oburzenia.

Na dowód lekceważenia tych zbiorów niech posłuży jeden przykład. W przedsionku głównym na środku sufitu wisi czerwony proporzec dekoracyjny zwyczajny, sprawiony na jakąś dzisiejszą uroczystość, i temu tu dobrze. Ale w drugim przedsionku w ten sam sposób wisi u sufitu sztandarek z r. 1863, biały, z godłami ruchu ówczesnego, czarnym złamanym krzyżem, z koroną cierniową. To przecież jest osobliwość pod każdym względem godna innego traktowania, niż proporzec zwykły, do ustrojenia na obchód pierwszy lepszy sprawiony!

Tu już opinja publiczna powinna upomnieć się o uszanowanie zabytków przeszłości, jeżeli nikt ze zwierzchników muzealnych nie uważał za stosowne wziąć w obronę zbiory wojenne.

To już nie po europejsku w muzeum krakowskiem; do dekoracji sprawia się armatury z blachy i pstrzy chorągiewkami, ale nie używa prawdziwych zabytków z przeszłości!

Okazy te wszystkie powinny być zdjęte ze ścian w sieni i umieszczone w stojących na środku sali sztelażach tak, iżby je każdy mógł swemi oczami studjować i gdzieby kurz czasem mógł być z nich omiecionym. Wśród proporców godziłoby się rozróżnić szmaty dekoracyjne od pamiątkowych.

Jeżeli w Muzeum Narodowem niema miejsca dla zabytków starej broni, to należy je stąd przenieść do innego lokalu i pod fachową opiekę.

Uznać należy rozszerzenie godzin, do zwiedzania muzeum przeznaczonych, od 10 rano do 4 popołudniu, tylko bezpłatne wejście wypada raz przecież rozciągnąć na wszystkie niedziele, by uboga publiczność, która się chciwie garnie do poznawania dzieł muzealnych, nie była ograniczoną do jednej, pierwszej niedzieli w miesiącu, zresztą od czasu organizacji tej instytucji i tego zaniechano.

Dyrektor muzeum tłumaczył się z tego ignorowania biednej publiczności brakiem służby, jaka jest potrzebna do pilnowania, gdy tłumy wchodzą do muzeum. Pokazało się to strachem na Lachy, aby Rada miasta ulękła się kosztów utrzymania aż 4 stróżów nowych, bo obecne urządzenie przy wejściu do muzeum bez zawotowania stróżów owych spotrzebowuje za nadto dużo ludzi. Otwarto dwie klatki schodowe, aby innemi wychodzono w górę, a innemi schodzono na dół. Kazano oddawać laski i parasole w garderobie za opłatą. Sprzedaż biletów odbywa się jedna w bramie, druga katalogów na piętrze. Sprawiono automatyczne dwie maszyny do kontrolowania wchodzących i wychodzących osobno osób, i przy tem wszystkiem poustawiano ludzi. Proszę teraz policzyć, ile sił jednostek używa się dla jakiegoś szyku zagranicznego, i to dla kilkunastu zwiedzających!

Niechby automaty dla statystyki w razie tłumnych zwiedzań czynność spełniały, ale codziennie bez żadnej potrzeby są zbyteczne, tak samo, jak to otwieranie dwojga schodów, przez które przesuwają się jednostki, mogące bardzo wygodnie w jednym kierunku wejść i zejść. Otóż tych stróżów, bez żadnej potrzeby nudzących się w ciemnych schodach na dole, wprowadzić należy do pilnowania przedmiotów muzealnych w salach i otworzyć dla publiczności w każdą niedzielę wstęp wolny.

Katalogi też powinny być nie na zysk obrachowane, i sprzedawane po cenie druku dla publiczności.

Muzeum narodowe powstało ofiarnością publiczną, a utrzymywane kosztem miasta, niech służy do szerzenia oświaty pośród mas, dotąd ciemnych, a chciwych wiedzy. Skoro znaleziono ludzi do pilnowania automatów i dwóch klatek schodowych i prowadzenia garderoby, to niema przeszkody do otwarcia muzeum dla szerszej publiczności w każdą niedzielę.

KORALE.

Jakże, moja Kubowa — uczy się wasz Jaś?

— Boże Miłosierny! Jeszczebyście pytali, moja pani? Jemu ino tyle życia, co przy książce, a przy nauce. Już takie było od maleńkości, już takie mu było zamówienie, czy co, że ani do zabawy, ani pustoty, ani nic mu nie w myśli, jeno książka i książka...

— Doczekacie się kiedyś pociechy, powinniście się cieszyć tą chęcią do nauki, bo przecież lepiej będzie waszemu chłopakowi w świecie, gdy szkoły ukończy.

— Co tam za pociecha? U nas, wedle tego niema planu, aby tam dzieci oświecać, tylko uciemiężenie i kłopot.

— Jakto uciemiężenie?...

— Niby pani tego nie może zrozumieć, bo u państwa inaczej, a u nas inaczej. Niby u nas jest tak; — jak gospodarskie dziecko, to ma wedle gospodarstwa pracować, a jak dziecko biedaka, to już ino do mularstwa. Mojemu Jasiowi bezto ciągle przycinają, że niby nie poszedł do murarki, a ino do książki. A co mój za to nie nasłucha?... Nawet niby podmajstrzy, a parę razy i majster, to mu ćwirkali w oczy: — o ho!... widzicie?.. Źlichowski syna do gimnazji? widzicie?... na pana go będzie dawał?...

Zakaszlała się — pierś jej poruszała się ciężkim oddechem, oczy zaszły łzami. Potem pochyliwszy się nad balją, z której buchała para dusząca, poczęła brać sztukę po sztuce i wykręcać silnie.

Od białego płótna bielizny cienkiej, ręce jej, czerwone, nabrzmiałe żyłami grubemi, odbijały, jak ceglane plamy od śniegowej płachty — twarz poorana zmarszczkami, spływała kroplami potu, a w oczach rysował się dziwny smutek i ból.

— A teraz wasz już się nie sprzeciwia nauce Jasia?

— Kaj tam!... Ot po murarsku!... Klnie, a narzeka. „Jakbyś tyle roków chodził do murarzy, co chodzisz do szkoły, powiada niby do Jasia, to byś już brał i po pięć złotych na dzień, a jużby ci to inaczej pasowało“. Jak Jasiek, niby w stancji siędzie do pisania, bo niby po łacinie zna pisać, to mój strasznie dokucza a narzeka, tak ja widzę, jak chłopcu żal i żal okrutny... ale cóż robić?... takie zamówienie, czy zaklęcie, taj rady niema.

Wykręca swoje bielizny, składa do kosza, dolewa znów wody gorącej, para osłania jej blade i zgaszone oczy, kaszel znów dusi i pierś rozrywa, a palce u rąk jej stają się białe i białe, dziwnie martwe, pomarszczone, aż przykro na nie patrzeć.

— Jakby to mój o koralach wiedział — toż... byłoby to już nieszczęścia dosyć...

— O jakich koralach?...

— Przecie zastawiłam. Te korale, co miałam niby jeszcze po babce, dwa sznurki, a trzeci sznurek kupiłam sobie za pralne pieniądze, kiedy miałam pranie w szpitalu... Jużci — wtedy mój się do żeniaczki chycił, bo te korale widział. Za ten sznurek, com sobie kupiła, dałam wtedy 65 bez półtora szóstki — a jużci zazdrości było co niemiara i szczęście moje było, bo zaraz Kuba wziął się do żeniaczki, jakoże przedtem mnie znał, a bał się, że będzie bieda.

— A dlaczegoż zastawiliście korale teraz?..,

— Moiście wy!... ta przez Jasia. Niby to nie wiecie, że teraz są mundurki dla gimnazji, a chłopczyna nie miał płaszcza. Taki ziąb go brał niejeden raz, jak do szkoły szedł, że się widziało „frybra“ go trzęsie. Ale to nie była „frybra“ tylko ziąb, co chodził bez płaszcza. Niby on nic nie mówił, aby mu kupić, broń Boże, on nie rzeknie nigdy, tylo on myślał, że lekcji dostanie. Chodził prosić i pana profesura i pana dyrektora o lekcji, ale — czy dali?... Uczy u jednego piekarza niby za 2 ryńskie, ale to za buty spłaca, a za cóż płaszcz?... Prała ja: prała bez 2 tygodnie, a myślałam na płaszcz jemu będzie, gdzie tam!... U tego inspektora dali za pranie 2 ryńskie i 30 centów. Kupiłam węgla i ziemniaków, zapłaciłam za chleb w piekarni, ostało się pół dziewięta szóstki. A życie?...

Na to pytanie, rzucone mi — stanęła biedna praczka, wpatrzona we mnie z powagą wielką, jakby chciała wiedzieć, czylim ja zrozumiała, co to znaczy — „życie za pół dziewięta szóstki?...

Ręce jej, te ręce z końcami palców białych, jak wapno, w których już kropli krwi niema — działają tak na mój wzrok, iż zdaje mi się — coś boli w oczach... coś miga płatami ciemnemi.

— U tej pani, co ma studentów na stancji, dali mi za pranie półtora ryńskiego, bo niby ja była winną, bo ja wzięła naprzód koronę. A jużci — widział mój pieniądze i wziął mi koronę, a potem jeszcze 15 centów, na przepicie... A stancja nie płacona!... Tak wtedy Jasiek mój mało się nie zatrapił — już powiada: „Mamo! chyba nie będę chodził do szkoły, ja sumienia nie mam, ja nie mam serca, ja nie mam życia dobrego — wy zarabiacie, a ja nie zarabiam“... Nawet chciał u tego żyda, co ma sklep z winem, chciał pisać u niego, bo niby on potrzebował pisarza, dawał 3 ryńskie na miesiąc, ale podeszedł go Groński, syn poborcy, ta i wzion! Co ja sie nie napłakała, co ja sie nie naprzemyśliwała, aby jakowoś zaradzić... Tak i poszła ja do kasy, co to daje na zastaw, i zastawiła korale, a kupiła jemu płaszcz za 12 złr...

— A raszta pieniędzy gdzie?

— Reszta? Ostał się ryński i 6 szóstek. Tak schowałam koronę na procent, bo przyjdzie procent potem płacić, a skądże ja wezmę?

— Jaś wam kiedyś odwdzięczy, on wam odpłaci za to — zobaczycie.

— Moiściewy! Już ja na to nie czekam; aby ino jemu było lepiej, aby ino on szkoły skończył, aby już się po jego woli stało, bo co korale to korale, choć strasznie bez nich smutno, zdaje się, że już na nic wszystko, jak ich się wyniesie z chaty, ale zawszeć to dziecko, to i dopomódz trzeba. — Niech tam ludzie już nie przygadują, że ja bez gruntu komornica, dziecka nie mam czem wyżywić a do nauki prowadzę, niech tam już ludzie nie ćwierkają, że bez murarstwa chleba nie będzie, a jak takie dziecko ma zamówienie, czy urok do tej nauki, to i co poradzę, a może...

Tu kaszlać znów poczęła, oczy jej zaszły łzami, wyprostowała pochylone barki i ocierając twarz, parą zwilżoną — rzekła: — Może mój i nie obaczy, co korali nie ma. Jużci noszę tę chuścinę na szyi, aby nie dojrzał, a nie zapytał... boby straszna była historja... abo jakby sąsiadka która doźrała, że ja bez korali, jużby obsądzili człowieka na koniec: -- widzicie? syna do gimnazji a korale do zastawu. — Ja kiedysiek w niedzielę poszła po mięso, niby do Wirzbowej, co nawet kumeczka, ale że ja to ino raz na tydzień mięsa kawalątko kupię, to i ona przygania zaraz po zazdrości, że na mięso nie mam, a syna do gimnazji daję. Tak ona powiada: — Kubowa! a wasz Jasiek skąd ma płaszcz!... To prawie każdy wie, co płaszcz kosztuje, czy to wasza rzecz taki kupować? Kto mu dał?

— Kto dał?... Boże Wielki! A któż to dą płaszcz biednemu z gimnazji? — Widzieliście to?... Ja mu dałam, ja — nikt inny, tylko ja. — Moiściewy!... Ona stanęła jakby ją paralusz — Niby to wy macie na płaszcz?... Pół funta mięsa na tydzień kupicie, wodzianką żyjecie, a na płaszcz macie?

— Tak już mnie do serca dopiekło... Myślę sobie — kiedy nie chcesz wierzyć, że ja Jaśkowi płaszcz kupiłam, mówię jej do ucha, aby nikt nie słyszał:

— Korale! —

Zatrzymała się — spojrzała na mnie dziwnie smutnemi oczyma, a potem, zupełnie przez płacz — mówi:

— A ona wtedy — „przepadło“.

— Co przepadło?

— Wasze korale — już ich pewnie nie obaczycie.

– Niby wedle tego powiada, że ja już nie, uskładam 13 zł. na wykupienie korali, a Jaś jak szkoły skończy, nie kupi. — Jakem szła od niej, świata nie widziałam, taki mie „ankor“ chycił, że myślałam — nie dam rady, żeby mi te korale przepadły — jużby chyba, nie było na świecie sprawiedliwości — żeby ja nie wypłaciła. Boże dobry, toż ja pracuje noc i dzień...

. . . .

Ile razy teraz obaczę obcy płaszcz gimnazjalisty, migający wśród przechodniów — przypominają mi się one korale biednej Kubowej odniesione do zastawu, a na wykupno których musi prać dzień i noc, noc i dzień owe korale, które jej szczęście dały, które zdjęła w największej ofierze na płaszcz dla syna, bo już miał jakieś zamówienie na naukę i nic go od niej „oderwać nie mogło“,..

Czy też ona je wykupi?...

Jan Świerk.

ZA TYTUŁ — INFAMJA.

Konstytucja z 1673 r., — rzuca infamię na Polaka, któryby się odważył używać tytułów, oczywiście cudzoziemskich, — bo rzeczpospolita ich nie znała, ani nie rozdawała. Podobne kodeksowe, — potężne w skutkach obostrzenie prawne, świadczy o żywiołowo silnej demokratyzacji w obrębie sfery szlacheckiej, która nie chciała żadnego wyłomu i żadnego wyjątku w twierdzy swej kastowej.

Powodów tego niezwykłego poczucia równości trzeba chyba szukać w pierwotnym ustroju Polski Piastowskiej, — w ustroju gminowładczym

i w tej zagadce z rozbrzasku dziejowego nadgoplańskiego państwa, którą jako niezwykle śmiałą i świetną hipotezę rozwinął Franciszek Piekosiński. Jeżeli przyjmie się jego teorję i rzeczywiście uwierzy, że pierwszy, najczystszy pokład szlachty naszej, był dynastycznego pochodzenia, — a poczucie tej dynastyczności przeszło w krew i kości z dziadów na wnuków, — to i zrozumialszą staje się zagadka, — dlaczego „szlachcic“, oznaczał sumę najwyższych pragnień. — a tytuł szlachecki, był blaskiem blasków... Z czasem porobiły się szczerby mocne w ustalonych pojęciach: przyniosła je ze sobą historja i polityczne komplikacje, — a nadewszystko racje stanu.

Pierwotna, za Piastów scementowana żelazną obręczą szlachetczyzna, zaczyna się rozluźniać i wpuszczać w swój obręb... ludzi obcych. Przyszła unja horodelska i konieczność przyjęcia bojarzynów litewskich do herbów polskich, — potem okres fanatyzmów i starć religijnych, — a z nimi konieczność wyszukania formuł zachęty, dla garnących się pod katolickie sztandary. Dawni, niedostępni właściciele herbów, nie wahali się do tarczy przypuszczać wychrzczonych żydów, — a rzeczpospolita wydała nawet ustawę, na mocy której prozelita otrzymywał szlachecki klejnot. Sama zatem sfera szlachecka rozszerzyła się, nasiąkła obcymi elementami, — zatraciła pierworodną czystość, — ale pierwiastek demokratyczny, ostał się w niej równie mocno, — jak za formacji Mieczysławowej dziedziny.

Ponad ,,urodzonego“ szlachcica, — nic nie było. Średniowieczne dyplomata, zawierają w szeregu świadków, powoływanych na uskutecznienie pewnej czynności prawnej, — terminy baronów, hrabiów, — znikają one jednak niebawem. Nawet Jagiełło nie mógł uzyskać dla posierba swego, Jana Granowskiego z Pilicy, tytułu hrabskiego, gdyż odmówił mu pieczęci swej na dokumencie ówczesny kanclerz i biskup krakowski. Mimo to stare, prym wodzące w społeczeństwie rodziny, szukały splendoru zewnętrznego i chciały się koniecznie kąpać w blaskach mitry lub hrabskiej korony. Szlachecka zasada *par inter pares* stała — jak mur, przez który próbowali magnaci się przedrzeć. Zygmunt Stary, opierał się tworzeniu majoratów, — a nawet zniósł ordynację Tarnowskich. Magnaci jednak nie dawali za wygraną, wobec nieprzepartej zasady równości postanowili szukać dostojeństw poza granicami ojczyzny. Jeszcze w XV. i XVI. wieku, pomimo przygaśnięcia uroku świętego rzymskiego imperjum i rozwalenia się w gruz formuł o uniwersalności państwa niemieckiego, — wytrwali cesarze niemieccy w teoretycznych przynajmniej doktrynach, — że ich władza jest mieczem świeckim, — drugim najpotężniejszym, obok papieskiego, duchownego, — nad światem zawieszonym.

Dzięki tym zacierającym się, ale nie zatraconym utopjom średniowiecza, — nadaje Fryderyk III. hrabstwo na Lesznie, Rafałowi Leszczyńskiemu, — poczem cały sznur arystokratyczny: Górkowie, Ostrorogowie, Tarnowscy, — przyozdobili swą i tak ogromną tytulaturę, dziedzicznych panów na Bóg wie ilu włościach, komesostwem świętego imperjum rzymskiego. W XVI. i XVII. wieku, sytuacja się nic a nic nie zmieniła. Możne królewięta Szajnochowskie — dodają blasku herbom przez przyjmowanie zakrajowych odznaczeń, które spadają na nie szczególniej przy rozmaitych missjach dyplomatycznych. Na granicy rzeczypospolitej, chowa się te pergaminy do puszek i zjeżdża między brać szlachtę, — bez dostojeństw. Znajdują się jednak ludzie, stojący na wyżynie społecznej, karmazyny kość z kości i krew z krwi, którzy sami przesiąkli doktryną równości i wyznawali teorje szlacheckie, — jako ewangelję narodową.

Mikołaj Firlej odrzucił ofiarowane mu przez Filipa II. hiszpańskie hrabstwo, — Zamoyski to samo uczynił z orderem złotego runa, którym go odznaczył Filip III. Z Wiednia jednak ustawicznie podarki płynęły: Lubomirscy, Ossolińscy, Koniecpolscy, Den hoffowie udekorowali się w mitry i hrabstwa. To wzbudziło reakcję i wywołało ustawę z 1638 r. wzbraniającą przyjmowanie zagranicznych tytułów. Ostatnim szczeblem tej reakcji, była wspomniana już konstytucja, obrzucająca infamją tych, którzyby się poważyli obrażać równość szlachecką, przez używanie cudzoziemskich ozdób, herbów lub pieczęci...

Naród szlachecki tak konsekwentnie przeprowadził w tym wypadku zasadę swoją, — że nie chciał uznać nawet tytułu księcia pruskiego, hołdownika rzeczypospolitej, — a z posłami pruskimi nie pragnął siedzieć w sejmie pospołu, — jako z poddanymi ,,senatora“. Konstytucja z 1673 r., była widomym wyrazem tego, co się działo w łonie rzeczypospolitej i rzeczywistą emanacją anarchistycznych prądów, jakie w niej wówczas pano-

wały. Zasada o tytułach była zdrową i ze stanowiska demokratycznego szlachetną, — całe ustawodawstwo jednak w tej dziedzinie było w istocie swej drobną przynajmniej oznaką prądów, — które społeczeństwo nurtowały. Ot, konstytucja z 1673 r.! — Czem ona jest i dlaczego się ukazała? To, jakby ostatnie ogniwo w skutkach, wywołanych przez wywrotne i szkodliwe mądralstwo Maksymiliana Fredry i partji „piastowskiej“, — która za dogmat uważała konserwować wszystko co było, zarówno dobre, — jak najgorsze, — ze względu na swojskie pochodzenie...

Liberum corrumpo, dawne, przestarzałe konstytucje, elekcyjność, — wszystko ma zostać, — a tembardziej źrenica wolności: równość demagogiczna i fikcja społeczna o szlachcicu na zagrodzie równym wojewodzie.. Tak ta konstytucja, — zasadniczo rozumna, choć surowa, była drobnym odblaskiem tej nieszczęsnej roboty, którą polski Laroche Foucault, statysta, moralista, — a przedewszystkiem anarchista, według staroszlacheckiego fasonu, nasiał. Oczywiście z chwilą wprowadzenia obcych dynastów na tron polski i rozmożenia się oligarchji — a spadnięcia szlachty do rzędu tłumu głosującego i wykrzykujące go, — straciły dawne zakazy na sile i znaczeniu... Rosja potworzyła swoich książąt, dawniejsi świętego imperjum: Lubomirscy, Radziwiłłowie i inni, zyskali zatwierdzenie tytułów przez sejmy, — August II., ustanowił order orła białego, — Stanisław August Świętego Stanisława..

Stare obyczaje poszły w niepamięć... W tej Polsce, w której Watykanowi nie przedstawiono do nominacji kardynałów, — aby nie drażnić episkopatu i nie tworzyć specjalnych przywilejów, — została się w porozbiorowej epoce, — długo tłumiona fala: manja tytułów. Rząd austrjacki, potworzył w swoim zaborze cały szereg hrabiów t. z. „galicyjskich“, — na podstawie piastowanych przez ich dziadów, w czasie aneksji urzędu starostów grodowych itd., lub możności wykazania się pewnym szeregiem dygnitarzy w dawnem państwie polskiem.

E. Ł.

Karol Letourneau.

Dnia 19 lutego roku bieżącego zmarł w 71 roku życia sumienny pracownik na niwie socjologji — Karol Letourneau.

O życiu jego nic prawie nie wiemy, nawet pisma fachowe jak „Revue international de sociologie“ nie poinformowały nas w tym względzie we wspomnieniu o zmarłym.

Na polu naukowem Letourneau dał się poznać najpierw jako przyrodnik. Początkowo zajmował się on fizjologją i bjologją; owocem pracy jego umysłu w tym kierunku są dzieła: „Phisiologie de passions“ i „La Biologie“.

Studja antropologiczne zmarłego uczonego były przejściem od badań czysto przyrodniczych do socjologicznych.

Letourneau był jednym z najczynniejszych członków „Towarzystwa Antropologicznego“. W instytucji tej kolejno piastował różne godności, poczynając od zwykłego członka do przewodniczącego.

Gdy założono „Szkołę antropologiczną“, Letourneau był jednym z jej profesorów, na jego żądanie utworzono tam katedrę socjologji, jedną z pierwszych na świecie.

Wykłady w pomienionej szkole stały się zawiązkiem późniejszych dzieł socjologicznych Letourneau.

Do badań nad zjawiskami społecznemi zabrał się on w wieku dojrzałym. Pierwsze dzieło będące ich rezultatem „La sociologie d'aprés l'etnographie“ wyszło w r. 1880, kiedy Letourneau liczył już prawie lat 50.

Wzmiankowana praca charakteryzuje dokładnie całą działalność naukową zmarłego socjologa.

Zawiera ona zbiór faktów z życia przeważnie ludów dzikich i barbarzyńskich, dotyczących różnych instytucji społecznych.

Letourneau był tego zdania, że przedwczesnem jest wyprowadzanie najwyższych uogólnień socjologicznych, że należy poprzednio gromadzić fakty, klasyfikować je i uogólniać tylko drogi rozwoju instytucji społecznych.

Socjologja Letourneau zawiera dużo materjału faktycznego, sumiennie zebranego, jednakowoż materjał ten w pierwszej jego pracy nie zawsze był najlepszy.

Dalsze dzieła uczonego socjologa francuskiego były tylko rozwinięciem poszczególnych rozdziałów pierwszej jego pracy.

Posiadamy więc szereg monografji specjalnych Letourneau, oto one:

„L'evolution de la moral“, „L'evolution du mariage et de la famille“, „L'evolution de la propriété“, „L'evolution politique dans les diveres races humaines“, „L'evolution juridique“, „L'evolution litteraire“, „L'evolution de l'esclavage“, „L'evolution du commerce“ i inne.

Prace powyższe są różnej bardzo wartości: pierwsze dwie z nich są znacznie słabsze od pozostałych. Najsłabszą jest — poświęcona rozwojowi małżeństwa i rodziny.

Letourneau zebrał w niej dużo faktów, ale nie umiał się w chaosie ich zorjentować.

Monografja o rozwoju własności jest pierwszą z prac zmarłego socjologa mających większą wartość.

Letourneau oparł ją na szerokiej podstawie faktycznej, uwzględnił najlepsze monografje etnograficzne.

„Rozwój własności“ jest jedyną pracą w swoim rodzaju w literaturze socjologicznej.

Rywalizować z nią może o pierwszeństwo co do wartości tylko dzieło Zibera p. t. „Oczerki pierwobytnoj ekonomiczeskoj kultury“; Ziber jest nawet krytyczniejszy w posługiwaniu się źródłami od swego francuskiego kolegi, jednakże dzieło ego obejmuje tylko epokę pierwotnego komunizmu, wtedy, kiedy praca Letourneau obejmuje i późniejsze epoki.

Jedyną w swoim rodzaju jest też monografja Letourneau o „Rozwoju literackim“, znajdujemy w niej mnóstwo ciekawych faktów o twórczości literacko-artystycznej dzikich.

Z biegiem czasu zmarły socjolog stawał się coraz krytyczniejszym w obec źródeł, coraz ścisłejszym w wywodach.

Letourneau uwidocznił w swych dziełach fakt znamienny, że podstawowe instytucje społeczne rozwijają się w sposób jednakowy prawie u różnych ludów należących do ras rozmaitych.

Nie możemy tu przedstawiać rozwoju różnych instytucji społecznych wedle dzieł zmarłego autora, przedstawienie takie wymagałoby specjalnego dzieła, zaznaczamy tylko ich ogólny charakter i doniosłość naukową.

Dzieła Letourneau opierają się prawie wyłącznie na materjale etnograficznym, nie dotyczą też najwyższych faz rozwoju społecznego, zwykle kończą się na badaniach, dotyczących instytucji w feodalnym okresie i rzutem oka na stosunki współczesne.

Porownywując prace Letourneau z „Zasadami socjologji Spencera“ przyznać im musimy wyższość pod względem umiejętnego nagromadzenia faktów i ścisłości wywodów; dzieło Spencera natomiast odznacza się większym talentem w przedstawieniu przekształceń pojęć ludzkich o siłach przyrody, życiu i instytucjach. Letourneau jest w filozofji ścisłym pozytywistą.

W poglądach swoich społecznych idzie dość daleko, liberalizm i demokratyzm nie zadawalniają go.

Ideały jego zajmują pośrednie miejsce między socjalizmem a anarchizmem.

Socjalizm pociąga go przez to, że dąży do zaprowadzenia ogólnego dobrobytu, przeraża go jednak myśl o przyszłym centralizmie i roli państwa.

Do anarchizmu ciągnie go chęć wolności, nienawiść do państwa, jednakowoż zdaje się on rozumieć, że zupełny brak instytucji przymusowych jest niemożliwym w społeczeństwie.

Letourneau, wyznając daleko sięgające ideały społeczne, nie jest jednak rewolucjonistą, lecz zwolennikiem głębokich i powolnych reform.

Prace Letourneau przyczyniły się bardzo do utrwalenia i rozwoju ewolucyjnego poglądu na społeczeństwo, szczególnie we Francji mają one wpływ dodatni, gdzie rozpanoszyło się na czas długi doktrynerstwo liberalne w najgorszem słowa tego znaczeniu.

Z prac Letourneau przetłumaczono dotychczas na język polski tylko dzieło p. t. „Rozwój moralności“.

Ludwik Kulczycki.

11)

Dzieje mieszkań ludowych w Polsce.

STUDJUM HISTORYCZNO-PORÓWNAWCZE.

Przypatrzmy się życiu stepowca na rozgraniczu Azji i Europy. Mroźne poranki i zima ostra, szczególna właściwość stepu, zmusza człowieka do ochrony ciała swego przed chłodem. Ponieważ dzikich zwierząt jest niewiele, których skóry można prócz wilka obrócić na odzież, a domowe zwierzęta nie zawsze się opłaci dla ściągnięcia skóry jedynie zabijać, przeto wcześnie trzeba „motać“, „wić“ i „tkać“ wełnę na odzież*). Czynność przy wyrobie tkanin dzieje się wedle rozmaitych sposobów, które dostrzeżemy w ugrupowaniu masowem wyrazów, do klanu „namiotowego“ należących.

Pierwszą serją wyrazów daje pierwiastek *„mete“* (małorus) — *„metu“ zmiatam „śmiecie“* lub *„pomiot“*, dalej — *„motam namotam“* — (serb) *„namotati“* — (rosyj.) *„namotowati“*, skąd — (litew) *„Numetas“* zasłona, *numetus* odziewka na głowę zamożnych kobiet, rodzaj woalki, *numetutas* zasłonięty tkaniną — (małorus) *namitka* — (białorus). *Namet* przykrywa, *namjutka* okrycie głowy na tubach rozpięte — (bułg.) to samo *namiotka* — (węgier) *Nemez* pilśń. Pochodnym z tych okryć ludzkich jest wyraz *„namiot“* we wszystkich wyżej wyliczonych brzmieniach i rozszerzonych pojęciach, jak n. p. (greckie) *temenos* (łac.) *Templum* świątynia. Od *„motać“, mącic,* **tu i tam (jak wrzecionem) poruszać,** idą wyrazy (starosłowiańskie): *Mąt, omąt, mętny,* w dalszem rozwinięciu *smętny* i *smutny, mącić* zaś to *„matati“, „mastati“*, a *„mątew“* to *„medelo.“* — Od *mącić, motać* wiodą się — (nowosłow.) *omot, womot* oszustwo (omotanie). *Mącić, męt, zamęt, mędlic* przetwarza się też na *„zmota“*, zamięszanie, skandal — (ros.) *miatież* powstanie — (białorus.) *smutołówka* nieporządek — (ukraińskie) *„mutwa“* zamięszanie, *„omut“* wir — (czes.) *zamutek*, mieć umysł *zamącony, smutny.* — Obraz optyczny zamięszania, splatania, poruszania tu i owdzie rytmicznego, widocznym jest na wyrazach — (ukraiń.) *meteż*, śnieżyca, zawierucha śnieżna — (serb.) *mecawa* — skąd przez dalsze przeniesienie wyrazu otrzymamy wedle omówionego przedtem prawidła — (rumuń.) *nemet* śnieg. — Ręką poruszać (jak wrzecionem) *miotać, mieść* daje — (lit.) *metu, mesti* — (węgier.) *pemet* — (rumuń.) *podmet, metuwe, miotła* — (węg.) *ment* ciskać, rzucać — (starosłow.) *mesti* — (pruskie.) *motas* atmatos — (niem.) schmeissen — (lit.) numeta wrzucić coś do środka (namiotu). — W związku najbliższym z „miotać“, „motek“ wełny jest (ukraiń.) menteli, mjateli, mentel — (łac.) mantellum — (węg.) mente — (poł. gór. niem. mantel — (star. gór. niem.) mente, co wszystko

**) Wełna jeszcze długo na lądzie europejskim, zwłaszcza na północy jako tworzywo koczowniczej gospodarki długo utrzymuje przewagę nad lnem czyli włóknem roślinnem, wytworzonem na tle osiadłego na poły rolniczego życia. G. Boschau w pracy „Anfänge der Webetechnik“ mówi, że na północy według jego poszukiwań w okresie bronzowym wyłącznie wełna służyła do wytwarzania tkanin, jak to całkowicie zachowane ubiory z dębowych trumien wykazują (Zeitschr. f. Etnologie XXI Nr. 243). Natomiast w starych budowlach palowych, zamieszkałych przez lud osiadły bagienno-rolniczy, umiejący się doskonale z lnem obchodzić, wełny brakuje zupełnie (tamże). Jestto ważny szczegół, na który w rozdziale Palowcom poświęconym powołamy się jeszcze.

oznacza płaszcz, odzienie z materji wełnianej uczynione. Okrycie tkane z wełny, rozpinane niby namiot na sprężystych na głowie u Białorusinek, namjet, *namjetku* — (arab.) *mata* plecionka ze słomy — (łacińskie) materja odnoszą się, jak to zresztą rola kobiety u Indogermanów w gospodarstwie domowem wyraźnie wskazuje do jej głównej pracy domowej. Brzmienie mater, mère, mother, mutter, macierz, matka, matrona wiąże się z pojęciem kobiety tworzycielki, motającej z motków materje wełniane i namiotki. Wogóle kobieta w pierwotnych gospodarkach, czy to stepowych, czy pomniejszych rolniczych, odgrywa pierwszorzędną rolę. Z tego względu kobieta jest cennym bardzo sprzętem domowym, za który ludy pasterskie — stepowe do dziś płacą i dlatego rabunek kobiet, którego ślady znajdujemy w obrzędach ślubnych całej Europy i w podaniach historycznych tak wielką niegdyś odgrywał rolę. U germanów według Tacyta XV kobieta uprawiała rolę, za czasów Homera greckie niewiasty mełły zboże, sadziły, przędły i tkały len (Tomaszek, starzy Trakowie, I 122). Również gotowanie mącznych potraw należy do kobiety. Im więcej zaś tradycje rolnicze słabną, tem silniej występuje obyczaj kupowania robotnicy, tworzycielki matki, nawet wśród europejskich plemion. Książę Traków, ludu, którego mężczyzni pogardzali rolnictwem, rzecze do Xenoppona: „Chcę twoją córkę kupić wedle trackiego obyczaju“ (czyt. u Hirta: Der Ackerbau der Indogermanen. Indogerm. Forschungen. V., str. 400). — Na tle więc matki — kobiety, jako siły wytwarzającej, należy rozumieć to, co nam polski uczony p. Antoni Mierzyński w wybornem dziele „Źródła do mitologji litewskiej“ (str. 12) podaje i przekonamy się, że kult „matki“ wogóle jako siły wytwarzającej płody, a zarazem opiekunki pojedynczych tworów był na Litwie znacznie rozwinięty. Tworzycielka lasów to meta — mate — darża — mate, tworzycielka ogrodu — żemes — mate, matka-ziemia — Mater-gabia, matka, ogień i t. d. — Tak więc to, cośmy z pokrewności wyrazów klanu stepowego wymiarkowali, zgadza się z temi wskazówkami, które z innych źródeł płynąć się zdają. Wytwory, rąk „matki“, materje, owoce żmudnej pracy ręcznej, również jak i wytwórczynie same, były przedmiotem pożądań i rabunków (jak dziś pieniądze) w czasie podbojów na stepowych. Do „*mentel mantellum*“ odnosi się rabunek „*mentowati*“ zrabować, a także odwrócenie tego samego pojęcia w „pozbyć się czegoś wbrew woli.“ Ta ostatnia myśl przechodzi do obrazu uwolnienia w ogóle, co po kroacku „mentowati“ oznacza. — Jeszcze w historycznych czasach stwierdza słusznośc wniosku, wyprowadzonego z ugrupowania pokrewnie brzmiących słów, fakt podany przez podróżnika Al. Bekriego z X stulecia, który pisze o Czechach, „wyrabiają też w krajach Bwimi (Bohemji) lekkie chusty, które na nic się nie przydadzą, temi oni i rozrachowują, za nie kupuje się pszenica, złoto, srebro i wszystkie rzeczy“ (Łebiński — Al. Bekri o Słowianach). Z „*motana namyotka*“, którą mierzono na długość i szerokość przy handlu, łączy się — (lit.) *namata*, kawałek odmierzyć, naznaczyć — (ukrain.) *namityty* określić, *kmituwati* pojąć — pokmityty *prykmitny*, pojętny — (rosyj.) *zamietka uwaga* — (białorus.) *meta* — (pol.) *umieć* — (łac.) *numero* liczyć — (litew.) *numona* miara oczna, zkąd wiedzie się ogólne pojęcie władzy wielkości, wielości — (łac.) numen. — W związku z „namjet“, jako pieniądzem i monetą jest dalej „*numus*“ (łac.) pieniądze — takie *nummulus* i *numisma*, których brzmieniowy związek z „nummero“ liczyć aż nadto jest widoczny. — Tu też odnosi się (litew.) Numanyn prowadzić interesa pieniężne „*namikstis*“ najmita czyli ten, co za motki — pieniądze pracuje.

(C. d. n.)

Kazimierz Mokłowski.

STEFAN RYCERSKI.

PUŚCIZNA BRZESZCZA.

(C. d.)

— Napisać nie tak łatwo. Przecież tego, co teraz myślę, na pocztę posyłać nie można.

— Czy być może? — spytał Witold, przywykły do europejskich stosunków.

— To nie ulega żadnej wątpliwości. Jeśli nie wszystkie, to listy adresowane do niektórych osób, są czytane i to niemal bez tajemnicy, bo koperty rozdarte, przychodzą niekiedy z naklejoną marką cenzury. Podobno listy zwykłych śmiertelników czytane są na chybił trafił.

— Więc wiesz co, napisz otwarcie, a ja sam list doręczę.

— Maryni? — zaśmiał się Ignaś — ostrzegam, że masz u niej bardzo złą markę.

— Domyślam się, inaczej nie byłaby sobą — odparł poważnie, ale pokuta maże grzechy, a przytem, będę posłem dobrej wieści.

Dobrej wieści potrzebowano bardzo w Malińcach. Zapanowała w nich atmosfera smutku i niepokoju.

Pani Teresa, Marynia, Berwicz, Jadwinia spoglądali ponuro na puste miejsce, które niegdyś zajmował Ignaś, a każde z nich czyniło to ukradkiem, ażeby nie zwrócić uwagi drugich. Nie mówiono też wcale o nieobecnym, bo rozmowa o nim, nie mogła stanowić pociechy.

Pani Teresa, w ciszy swego pokoju, wśród nocy bezsennych, zapytywała się samej siebie, czy nie okazała się zbyt surową, czy dobrze uczyniła, wydalając syna, wysyłając go w świat, gdzie na niego czyhać mogły wszystkie pokusy. Wyrzucała sobie, że nie potrafiła uzbroić go przeciwko nim puklerzem wiary, miłości, nadziei. Dlaczego była tutaj bezsilną? Dlaczego krew dziada i ojca nie grała w jego żyłach? W czem zbłądziła, że była ukarana tak strasznie? Tu musiała być jej wina.

Wstawała co dzień bledsza, z podkrążonymi oczyma i śladami łez na powiekach, które próżno ukryć usiłowała.

Berwicz spoglądał na nią i powtarzał w duchu:

— Nieszczęście! nieszczęście! nieszczęście!

Marynia z podwojoną gorliwością odwiedzała chorych, uczyła, jednoczyła się z chatami, jakby czuła obowiązek pracowania za siebie i za brata.

Jadwinia wprost nienawidziła go, jako zakały domu i jeśli nie wypowiadała tego głośno, to tylko żeby matce i Maryni nie czynić przykrości.

Dnie mijały powoli, jednotonne, wśród codziennej pracy, nie przynosząc ukojenia. Zmora niepokoju ciążyła nad Malińcami. Gość pojawiał się rzadko i nie sprawiał przyjemności, nie rozpraszał smutku, przeciwnie, powiększał go jeszcze. Trzeba było tłumaczyć powody nagłego wyjazdu Ignasia, wynajdywać pozory, bo przecież prawdy pani Teresa wypowiedzieć nie mogła.

Na domiar złego nie wierzono tym tłumaczeniom, poza niemi upatrywano powodów innych, tembardziej, że rozchodziły się głuche wieści o bytności Ignasia w Warszawie, o domowem nieporozumieniu, a nawet byli i tacy, którzy powód ich upatrywali w popadjance. Znalazł się ktoś, co spotkał Ignasia z Natalją, rozmawiających na drodze, a byli i tacy, którzy przysięgali, że widywali ich razem o różnych godzinach, chociaż stało się to raz tylko.

Wieści te dochodziły do pani Teresy. Nie wiedziała już, co było prawdą, co kłamstwem, ale sprawiały jej one pewną ulgę, bo dawały przeświadczenie, że w tych okolicznościach nie mogła inaczej względem syna postąpić, a właśnie ta wątpliwość trapiła ją najsrożej.

Na popowszczyznie wyjazd Ignasia był także komentowany. Natalja zmartwiła się nim. Nie opłaciło się teraz nosić strojnych szat, chodząc po aleji, nie było ich komu pokazać. Trzeba nieszczęścia. Poznała się tylko co z młodym, ładnym, bogatym paniczem, a on właśnie wyjechał. Co prawda, nie dziwiła się temu. Taki młody, bogaty powinien się bawić, nie siedzieć w takich Malińcach. Gdyby ona mogła, to pewnoby także w nich nie siedziała dnia jednego. Według jej pojęć, każdy powinien był używać młodości. I ona też używała, jak mogła i umiała. Nie wątpiła, że podobała się wszystkim, mówili jej to i młodzi i starzy i wszyscy, których spotykała. Cóż z tego, kiedy żaden nie był bogaty, a bogactwo to grunt.

Matka od urodzenia powtarzała jej co dzień: „Jesteś śliczna, jak urośniesz, a będziesz miała

rozum, to u ciebie będzie pieniędzy, jak lodu.“ Nauki matczyne w las nie poszły, i dlatego ta psychologia popadjanki była bardzo prosta. Postanowiła być bogatą, to jest znaleść dostarczyciela pieniędzy. W marzeniach swoich kwitowała w tym dostarczycielu z urody, młodości i wielu innych rzeczy, kwitowała nawet z sakramentu, chociaż ze względów praktycznych, uważała go za bardzo dogodny, gdyż dawał rękojmię, że dostarczyciel łatwo usunąć jej się nie może, ale w rezultacie nie szło jej o to tak bardzo, bo jeśli się usunie jeden, będzie drugi. Zresztą właściwością jej natury było troszczyć się więcej o dzisiaj, niżeli o jutro. Byle miała prędko pieniędzy, jak lodu, mniejsza o resztę.

Świat, jaki znała, nauczał ją tak, jak i matka, że pieniądz jest szafarzem wszelkiej szczęśliwości, sprężyną każdego działania, jedynym celem zabiegów. Że daje on wszelkie rozkosze i zadowolenia, stroje, zabawy, a nawet szacunek ludzki. Bogactwu przecież kłania się każdy bez wyjątku. Po zatem jej widnokrąg umysłowy nic więcej objąć nie był w stanie.

Na zdobycie bogactwa posiadała młodość, urodę i świadomość swych wdzięków. Nie były one tak nadzwyczajne, jak jej się zdawało, ale w każdym razie miała wzrost bujny, żywe rumieńce, bogate jasne warkocze, nosek impertynencko zadarty i oczy, któremi umiała spoglądać zalotnie.

Była to uroda pospolita, przecież podobała się każdemu, a co najważniejsze, sama Natalja była z niej zupełnie zadowolona. Kiedy przeglądała się w zwierciadle, zachwycała się sobą i sądziła w dobrej wierze, iż jest najpiękniejszą panną pod słońcem.

Śpiewała przytem donośnym, choć fałszywym głosem różne urywki z operetek, a ponieważ była wesoła, wesołość jej objawiała się nieustannym śmiechem. Śmiała się, czy był do tego jaki powód, czy go nie było. Był to u niej sposób zawiązania rozmowy, przerwania jej, zakończenia, śmiech służył za argument i wymówkę.

Gdy się śmiała, czerwone jej wargi rozchylały się szeroko, pokazując duże, zdrowe zęby. Uważała też śmiech za jedną ze swoich ponęt, śmiała się ustawicznie, czy to sama do siebie, czy do ludzi.

Jedniewiczowa bez wahania przypisała wyjazd Ignasia spotkaniu jego z Nacią.

— Dopieroż się ciebie boją — wołała do niej z dumą, bo czy też która panna umywała się chociaż do ciebie?

A widząc, że Nacia rozbierała się smutnie z czerwonej bluzki i włożyła jakiś zasmolony kaftanik, pocieszała ją po swojemu:

— Miałabyś też o kogo się martwić. Czy to gubernator jaki, czy jenerał? Czy to tak wesoło w malinieckim dworze, czy co? Panny siedzą, jak sowy w dziupli. Ani to na bal do kasyna w Rzeczycy, ani na oficerskie wyścigi nie jadą. Niema też u nich wesołej kompanji, kart, muzyki, tańców. Boże zmiłuj się, na co taki majątek! A gdybyś ty była panią Ignacową!

— Co też mama mówi! Ja panią Ignacową?

— A co byłoby dziwnego! — mruknęła popadja. — No, ale teraz niema o czem myśleć. Ojciec jedzie do miasta, niech cię weźmie, bo tu się na śmierć zanudzisz.

Smutek Naci na te słowa minął odrazu. Przypomniał jej się oficer, który w Rzeczycy chodził za nią, jak cień i akcyzny urzędnik i cały szereg wielbicieli. Teraz bez ceremonji doliczyła do nich Ignasia Cała bieda była w tem, że ojciec niechętnie zostawiał ją w mieście i chciał tu wydać za mąż, za syna sąsiedniego popa. Ale jak żona i córka uwzięły się na co, Jedniewicz kapitulował prędzej, czy później. Nacia więc w parę dni później jechała do miasta, dostawszy od ojca trochę pieniędzy, bez których ani bawić, ani stroić się nie można.

Od kawalerów dostawała wprawdzie różne prezenty, ale zawsze nie to, co najpotrzebniejsze, a potem od czegoż ojciec?

IX.

Witold z bijącem sercem jechał do Maliniec, lękał się postawić fałszywego kroku i zastanawiał długo nad sposobem spełnienia swojej misji. Pisać nie chciał, bo to nadałoby jej coś urzędowego, a znowu przyjeżdżając bez oznajmienia, mógł być odprawiony ode drzwi pod jakimbądź pozorem, toby utrudniło dalsze stosunki, a właśnie o te stosunki szło mu najwięcej.

Po długim namyśle postanowił użyć pośrednictwa Berwicza, zajechać wprost do niego i ztamtąd dopiero udać się do pani Teresy.

W tym celu upewniwszy się naprzód, że panie Marskie są w domu, pojechał którejś niedzieli do Maliniec, bo Berwicz dnia tego nie objeżdżał folwarków.

Stary zadziwił się bardzo, widząc zajeżdżający przed swój ganeczek w oficynie elegancki ekwipaż, a bardziej jeszcze, gdy z niego wysiadł Arczyński, którego poznał odrazu.

— A ten znów czego? — mruknął niechętnie sam do siebie, wychodząc śpiesznie na ganek, gdzie Buras ujadał z całych sił, bez żadnego względu na dystyngowanego gościa.

Berwicz wprowadził go do swojej kwatery, jak się po żołniersku wyrażał, posadził na najlepszem krześle i czekał, niespokojny, rozumiejąc dobrze, iż jakaś ważna sprawa sprowadzała go do niego. Na Litwie ważne sprawy są zawsze przykre, a często zwiastują nieszczęście.

— Jestem tutaj przysłany przez Ignasia — zaczął gość po przywitaniu.

— Od Ignasia? — pochwycił stary, którego to imię bardzo źle usposobiło. I dodał w duchu: Tak, tak, to jedna szajka.

— Mam nadzieję — mówił dalej Witold, nie zważając na przerwę, że list jego wyjedna mi u pań łaskawe przyjęcie.

Berwicz spojrzał na niego zdumiony. Po scenie, jakiej młody człowiek był świadkiem, a poniekąd przyczyną, nie pojmował jego czelności.

— Pani Marska jest cierpiąca — bąknął tylko, gotując jej możliwy odwrót i myśląc, jakimby ją sposobem zasłonić przed tą nową napaścią.

— Domyślałem się, że będzie to pierwsze słowo, jakie usłyszę — wyrzekł gość z uśmiechem — i dlatego właśnie postanowiłem udać się naprzód do pana, jako do przyjaciela i opiekuna rodziny.

— Co tam ja...

— Tak powiedziała panna Marja, a pannie Marji wierzyć trzeba, — odparł Witold. — Nie będę zresztą nadużywał czasu i cierpliwości pańskiej i powiem krótko. Po tem, co mnie tutaj spotkało, po rozpatrzeniu się w stanie kraju, którego na nieszczęście nie znałem, rozumiem, że ja, Ignaś i wielu innych popełniliśmy w Warszawie błąd wielki.

— Błąd tylko! — mruknął Berwicz, w którym krew zawrzała.

— Nazwij to pan jak chcesz, nikczemnością, zbrodnią nawet, ja protestować nie będę.

Powiedział to z tak gorącem przekonaniem, że Berwicz musiał mu uwierzyć i podniósł na niego oczy, pełne zdziwienia, choć już łagodniejsze.

— Gdyby tak Ignaś — wyrzekł głucho.

— Ignaś przyznał mi zupełną słuszność.

— Przyznał. No proszę, to szczęśliwie.

— Dał mi nawet list do pani Marskiej, w którym to pisze. Pocztą przesłać go nie mógł, więc ja się podjąłem.

— Masz go pan?

Witold wydobył go z pularesu, a Berwicz po raz pierwszy spojrzał na niego życzliwie.

— Pójdę zaraz do pani Marskiej! — zawołał z żywością.

I wybiegł, zostawiając gościa samego.

Witold rozejrzał się machinalnie po pokoju, urządzonym ze spartańską prostotą; bielone ściany, pułap z prostych desek, żelazne łóżko, zasłane kilimem, dębowy stół, parę krzeseł — oto wszystko, co się tu znajdowało. Była to istna kwatera, jak ją Berwicz nazywał. Mieszkaniec jej nie żył tutaj właściwie, bo nic nie wykazywało jego przywyknień. W kącie stała dubeltówka i laska sękata, nad łóżkiem wisiał krzyż czarny, wizerunek Najświętszej Panny Ostrobramskiej, a pod nią cały zbiór więcej i mniej zblakłych fotografji, nawet dagierotypów, w których pozostał zaledwie ślad przedstawionej osoby. Trzeba w nie było spojrzeć okiem pamięci, by dostrzedz jakieś oblicze, wychylające się z mgieł przeszłości. Niektóre okalały wieńce z nieśmiertelników.

Pomiędzy świeżemi fotografjami był Ignaś i jego siostry. Wizerunki ich powtarzały się kilkakrotnie, pochodziły z różnych epok, od czasu dzieciństwa, aż do dni ostatnich. Gość zapatrzył się w pannę Marję, w jej delikatne rysy, napiętnowane dziwną determinacją i siłą, w jej oczy głębokie, smutne, pełne marzeń. I tak się w tem patrzeniu zatopił, że nie słyszał nawet, jak Berwicz drzwi otworzył i stanął na progu.

Stary pokiwał głową, nagle zachmurzony. Nie podobało mu się to wpatrywanie, mignęło mu nawet podejrzenie, czy Marynia nie była powodem wyznania, jakie Witold uczynił przed chwilą, a nie był to wcale człowiek, o jakim marzył dla córki pani Teresy.

Witold odczuł zapewne na sobie ostry wzrok Berwicza, bo odwrócił się nagle i zmieszał, jakby schwytany na jakim złym uczynku.

A stary zbliżył się do niego i wyrzekł dobitnie, wskazując fotografje Marskich.

— Oto wszyscy, którzy mi zostali na świecie. Do nich należy moje życie. A gdyby ich kto skrzywdził...

— Panie! Któżby śmiał?...

— Kto? Różne są krzywdy na świecie, a najgorsze te, których żadne prawo nie ściga.

Wzrok jego zatrzymał się z takim żalem na fotografji Ignasia, jakby wyrzucał martwemu wizerunkowi złe, spełnione przez żywego człowieka.

— Pani Marska prosi pana — wyrzekł, opamiętawszy się Berwicz.

Witold przeraził się zmianą, jaka zaszła w pani Teresie. Od czasu, gdy jej nie widział, przybyło jej lat kilka. Była sama. Przyjęła gościa z chłodną powagą. Wzięła od niego list syna, ale choć siliła się na spokój, ręce jej drżały.

— Może pani zechce przeczytać.

— Pozwoli pan.

Rozdarła kopertę i czytała długo, a przez ten czas fale krwi przechodziły jej po czole, rumieniła się i bladła na przemian. Skończyła wreszcie, ale spuszczone oczy długo pozostały utkwione w liście. Zamyślona składała go zwolna.

— Powinnam podziękować — wyrzekła, podnosząc po chwili wzrok na gościa, za to, żeś się pan trudził oddaniem tego listu, a nawet, jak mi syn pisze, wpłynął na jego napisanie.

Mówiła bezdźwięcznym głosem, na ustach jej tkwił wyraz takiej goryczy, iż młody człowiek znalazł się znowu wobec zagadnienia, którego rozwiązać nie umiał. Sądził, że będzie przyjęty z radością, jako zwiastun dobrej wieści, że wszystkie twarze rozjaśnią się uśmiechem. Tymczasem spotykał się z tak wielkim smutkiem, iż uczuł, że nic go złagodzić nie mogło.

— Czyżby Ignaś — zapytał — źle wyraził swoje uczucia. On tak żałował...

Pani Teresa chciała mu przerwać ruchem ręki, jakby jej głosu nie stało i prosić, by tego przedmiotu nie tykał, ale on tego nie zauważył i mówił dalej:

— On bardzo żałował nierozważnego kroku. Niech mi pani wierzy.

— Dość, na Boga! — szepnęła śmiertelnie blada. Pan tego nie rozumie.

Miała słuszność, nie rozumiał.

— Żałuje! cóż stąd! — wybuchnęła, żal nie zmienia faktu. Już to samo, że przyszła mu myśl taka, starczyłoby do wykopania pomiędzy nami przepaści. Straciłam go. On, on, mój syn, wnuk Brzeszcza, sprzeniewierzył się wszystkiemu, co święte. Tu nie idzie o to tylko, co uczynił.., zbrodnią była już myśl sama. Pan tego pojąć nie może, nie karmiły cię łzy i krew, nie żyłeś niesprawiedliwością, nie oddychałeś zdradą, nie widziałeś siepaczy, tępiących wszystko, co wielkie, co czyste, nie patrzyłeś na męczarnie i śmierć ukochanych. Ale on! on patrzał na to od kolebki. I on...

Zakryła twarz rękoma, zwyciężona wzruszeniem, ciche łkanie wstrząsało nią całą.

Witold musiał współczuć tej boleści, I znowu odkrywał się przed nim świat nowy uczuć namiętnych, wobec których milknąć musiało wszystko inne.

Zrozumiał, że pora nie była stosowną do poruszania jakiejbądź kwestji. Chciał się dyskretnie wycofać z pokoju.

Ale pani Teresa zapanowała nad sobą i jakby wstydząc się tego, że uległa wzruszeniu, wyciągnęła do niego rękę.

— Przepraszam i dziękuję raz jeszcze — wyrzekła.

Młody człowiek bezwiednym ruchem rękę tę przycisnął do ust.

— Pozwoli pani, że w lepszej chwili dowiem się o zdrowie... Mam szczęście sąsiadować z Malińcami.

Skłoniła głową machinalnie, wymawiając słowa zwykłe w podobnych razach.

W przyległym pokoju Berwicz czekał na gościa.

Witold miał ukrytą nadzieję, że zobaczy tu panny Marskie, a przynajmniej starszą z nich. I co prawda zdziwiła go jej nieobecność. Wiedział przecież, że był młodym, przystojnym, wykształconym, stanowił to, co nazywają, doskonałą partję. Dawali mu to ciągle uczuć rodzice, ciocie, krewni panien na wydaniu, ubiegając się o niego widocznie, dawały uczuć nieraz same panny, narzucając mu się w rozmaity sposób, przywykł więc być wszędzie przyjmowanym z odznaczeniem. A chociaż panna Marja nie była podobną do innych, sądził, że mu się przynajmniej pokaże. Kobiety umieją zwykle odgadnąć wrażenie, jakie czynią, a on swego nie ukrywał. Oglądał się za nią z niepokojem. Może nie było jej w domu. Chciał zapytać Berwicza. Wypadało mu nawet to uczynić, ale coś zatrzymało mu słowa na ustach. Był pomiędzy ludźmi, których nie rozumiał i to go czyniło ostrożnym.

W sieni żegnał się z swoim przewodnikiem, gdy otworzyły się drzwi od bocznego pokoju.

i wybiegł z nich mały wiejski chłopczyk, a ujrzawszy nagle nieznanego pana, stanął zmieszany na progu.

Przez drzwi otwarte Witold spostrzegł pannę Marję. Siedziała wśród gromady dzieci, ubranych odświętnie i opowiadała im coś, co musiało ich bardzo zaciekawiać, bo kilkanaście par siwych, czarnych i błękitnych oczu, było w nią wlepionych, chociaż pod oknem był stół, zastawiony owocami, miodem, pszennem ciastem. Stosownie widać do słów, głos jej podnosił się, zniżał, była w nim i groźba i trwoga i smutek i śmiech.

Panna Marja siedziała odwrócona, widzieć nie mogła ani Berwicza, ani Witolda, tylko jej smukła sylwetka rysowała się na tle przeciwległego okna. Jedną ręką przygarniała do siebie pieszczotliwym ruchem złotą główkę małej dziewczynki, drugą wskazywała jakiś obraz, wiszący na ścianie, po za promieniem jego wzroku, a w jej całej postawie było tyle wdzięku, spokoju, prostoty, iż Witold byłby chciał patrzeć na nią i patrzeć jeszcze.

Drzwi się zamknęły, konie stały przed gankiem. Teraz Witold pomyślał, że Marynia musiała słyszeć turkot zajeżdżającego powozu, wiedziała może, iż to był on i nie raczyła mu się pokazać. Nie obraziło go to jednak, tylko w oczach uniósł obraz tej pięknej dziewczyny, pieszczącej chłopskie dziecko, otoczonej rzeszą maleńkich, zawieszonych na jej ustach.

Powoli zawiązały się stosunki pomiędzy Malińcami a Złotnikami Arczyńskiego, który dał tutaj dowody przebiegłej zręczności. Naprzód zaprosił do siebie Berwicza, pod pozorem ważnej gospodarskiej kwestji, przyjął go z wielkiem uszanowaniem, pokazywał swoje gospodarstwo, zasięgał jego rad, stosował się do nich, a co ważniejsze, starał się we wszystkiem naśladować tryb i postępowanie mieszkańców Maliniec.

Był to zwrot radykalny w jego życiu. Zerwał zupełnie stosunki z domami, przyjmującymi urzędowe figury. Nie wyprawiał już hucznych polowań, ani słynnych kawalerskich obiadów. Kart nie lubił nigdy, ale teraz wyrzucił je z domu. Odprawił mistrza kucharskiej sztuki, który nie miał równego sobie w całym powiecie, a nawet przestał się zajmować wyścigową stajnią, chociaż przywiózł z Anglji konie pełnej krwi.

Zreformował zupełnie swoją służbę i urządził się na zwykłą szlachecką stopę, tak, jak było w Malińcach.

Poznał się ze skromniejszem kółkiem sąsiadów, jakich tam spotykał i wcale się wśród niego nie nudził, bo łączyła go z niem wspólność interesów, trosk, dążeń, ukochań. W tem kółku, spoglądano z początku na wykwintnego panicza, wychowanego zagranicą z pewnem niedowierzaniem, ale poznawszy bliżej, polubiono szczerze.

Ta przemiana światowego człowieka budziła naturalnie najrozmaitsze sądy. Gdy Witold zaczął bywać coraz częściej w Malińcach, dawni znajomi powiedzieli tylko: „Zakochał się“. Nie dziwiono się temu, panna była piękna, z dobrej rodziny, bogata. No, matka była egzaltowana, to prawda i w egzaltacji wychowała córki, ale małżeństwo leczy z wielu dziwactw. Nikt nie wątpił, że mąż tak dystyngowany, urobi żonę stosownie do swoich pojęć. A jeśli tu i owdzie odzywały się szydercze głosy, przypisywano je zazdrości osób, których nadzieje zawiedzione zostały. (C. d. n.)

Z PIŚMIENNICTWA i SZTUKI.

KSIĄŻKI. *Noce letnie.* Włodz. Przerwy-Tetmajera. Nakładem D. E. Friedleina. Kraków 1902.

Piękna to, ciepła i jakby powiedział ś. p. Sewer, w „słońcu malowana“ książka: — ten zbiór obrazków, opowiadań i poprzednio już ogłoszonych artykułów okolicznościowych, który pod wspólnym tytułem „Nocy letnich“, własnoręcznie go ozdobiwszy, świeżo w świat puścił znany malarz ludu krakowskiego p. Włodzimierz Tetmajer. Któż nie zna, jeżeli już nie jego „bajecznie kolorowych“ płócien, to przynajmniej... samego ich twórcy „pana Włodzimierza“ z „Wesela“ Wyspiańskiego, tego malarza-idealisty, ożenionego z chłopką, szlachcica, osiadłego w bronowickiej chacie włościańskiej, któremu w rozkochanych we wsi polskiej oczach „chłop urasta

do potęgi króla Piasta!“... Postać to niezwykła, tężyzny i animuszu rycerskiego pełna, nawskróś artystyczna i nawskróś polska, a zarazem jeden z tych rzadkich ludzi, którzy marzenie swego życia, osobiście przynajmniej zakląć zdołali w rzeczywistość. „Jasne noce“, to niejako poetycko-teoretyczny komentarz poety, — na pół pamiętnik, na pół wyznanie wiary — do twórczości i życia malarza i człowieka. I jeżeli ten „poeta“. którego — jak chcą złośliwi — zbudziło w p. Tetmajerze dopiero powodzenie literackie jednego z jego kolegów po pędzlu, mniej szczęśliwy jest jako dramaturg, a jego „Piast“ jest słabem tylko odbiciem poezji Wyspiańskiego, bez jej dziwactw, ale i bez... jej poetyckiej wartości, — to tutaj w tej formie bezpretensjonalnych opowiadań, nawiasem mówiąc, ślicznym pisanych językiem, działa on wcale silnie, bo jest tylko sobą i daje szczerze samego siebie, a więci życie samo.

Szczera, głęboka miłość ojczyzny i jej przeszłości, z jej sławą całą, zasługami i błędami a nadewszystko wielkie ukochanie wsi polskiej i polskiego ludu, jego życia, obyczaju i starej, prasłowiańskiej, „piastowskiej“ kultury ludowej, w której on fundament główny odrodzenia się naszego w przyszłości upatruje, — oto, co cechuje przedewszystkiem sympatyczną książkę p. Tetmajera.

Niby zdrowe, ożywcze, swojskie tchnienie, owiewa nas z kart jego tomiku — i niesie w zwątpiałe często serca przypomnienie, że przecież „wiara jeszcze jakaś — w ludzie“. Ta swojska nuta, w której rytm układa się życie i twórczość cała autora „Nocy letnich“, jest też „leitmotywem“, całego tego zbiorku. Brzmi ona i w ładnie skomponowanym i wybornie w charakterze epoki utrzymanym obrazku, w tym „urywku ze starego pamiętnika J. M. P. Stanisława, towarzysza chorągwi pancernej“ p. t. Wigilja w obozie, i w tych dumaniach na temat Polski i polskiego chłopa, którymi są te sny nocy letnich: Wielkanoc na wsi, Privilegium Veneris, W noc majową i Mały obrazek zatytułowane, i w tych okolicznościowych artykułach: o „chłopie polskim na uroczystości mickiewiczowskiej“ i „Z powodu zawiązania się stowarzyszenia polskiej sztuki stosowanej“, i w tych wreszcie ciepłych słowach pamięci Kossaka i Pruszkowskiego poświęconych... Może zanadto niekiedy malarzem, może urodzonym idealistą tylko jest często, p. Tetmajer w swoich „Nocach letnich“, ale może tylko tacy właśnie przed jutrem „ścieżki pańskie prostują.“

Niechaj „moderniści“ nasi nie zapominają zresztą, że chłopa polskiego, przy „bożym stole“ pierwszy posadził Słowacki, który łaknął jego jadła, wołając, że: „gdzieś przy miesiącu z pastuszków kolendą, wyglądać będzie, aż ze złotych stołów, do których prosi Bóg, a c h ł o p i s i ę d ą, przyniosą mu chleb wędrowne żórawie“... W każdym razie w naszej dzisiejszej literaturze, jest ten głos, od artysty wychodzący, objawem nietylko pięknym i pocieszającym, ale bardzo znamiennym dla epoki naszej, której chata do niedawna jeszcze obcych bożków pełna, oto nagle coraz bardziej „w polskości rozkochana“ się staje... *A. C.*

*

Pieniążek Czesław: „Z d a w n y c h l a t“, gawędy i opowiadania. Kraków 1902. Czesław Pieniążek, znany jest w literaturze, jako autor pamiętnika z 1863 r., — zbioru nowel p. t. „Szare godziny“ i całego szeregu jednoaktowych przeważnie sztuk scenicznych — z doskonale pomyślanym i przeprowadzonym „Słomianym wdowcem“ na czele. Najnowszy tomik, — to gawędziarskie echa, z minionych i już dawno przebrzmiałych chwil, — zarówno pod względem treści, jak formy, — refren epoki Strutyńskiego, Wilkońskiego i całej plejady, która nie szukała ani nastroju, — ani wykwintu, — tylko po szlachecku, w wolnej od zajęć chwili, szła w służbę pióra. Dzisiejsze pokolenie, nie pogodzi z tym pustym, w groby zapadłym dźwiękiem, — z rodzajem, który miał powodzenie w opowiadaniach poetycznych Kondratowicza, — Pola i ich naśladowców. Akcji, przebiegu dramatycznego, — nerwowych scen modernistycznych, — ani śladu. Jest natomiast ciepły ton, kominkowa atmosfera, przelewanie słów z serca do serca.

Fakt ten lub ów, — podany bezpretensjonalnie, przeważnie jako opowieść, robi wrażenie niekiedy rzeczy, żywcem z życia na papier przeniesionej, — jakby utrwalenie jakiegoś zdarzenia, którego historja nie zapisała, — chociaż na zachowanie w pamięci potomnych zasługiwał.

Taki Siekierzyński w „Wielkanocy w Siekierzyńcach“, — siwowłosy starzec, — co jak Niobe płacząca został nad zgliszczami rodzinnych dostatków i trupami pomordowanych, pomęczonych przez Moskali dzieci, — nie jest w naszej martyrologji osobliwością nieznaną. Wspomnienia jego są czyste, naturalne, niepatetyczne — i dlatego za jednym zamachem przypominają tę całą sprawiedliwość polityczną, która kreśliła trzy wyroki: knut, szubienica, Sybir. Szewc, idący do powstania i ginący na rękach żony, — Pan Rafał, żywy typ z przed kilku lat dziesiątek, z nieodstępną jowialnością, — zresztą garść facecyj, — jakby z kroniki rodzinnej wydarta, — oto wszystko. Autor czuł sam w zastrzeżeniu na wstępie, że idzie z nieznaną mową w panujące prądy, — ale każdy, nawet za najstarszy zabytek uważający ten utwór, w zewnętrznie nowe szaty ubrany, przyznać musi, że jest coś, co mu wśród dzisiejszych nawet dróg daje dyspenzę: miłość ojczyzny i tego, co w niej zaginęło... *E. Ł.*

*

Jak można zapobiegać suchotom płucnym, jako chorobie zaraźliwej? H. Buenzel. Przekład Dr. St. Bartoszewicza. Warszawa 1902.

Mała książeczka, do której przeczytania uważnego, wystarczy kwadrans czasu, — a godna jak największego rozpowszechnienia, gdyż poucza, jak można uniknąć jednej z najstraszliwszych chorób, dziesiątkującej ludność różnych krajów.

Szkoda tylko, że tłumacz zanadto ściśle trzymał się przepisów oryginalnego dziełka, którego autor albo miał na myśli cieplejsze od naszego podniebie, albo stanowczo przesadził, zalecając np. przyzwyczajać dzieci do spana „nawet zimą“ przy oknie otwartem. Taka rada, gdyby była u nas wykonywaną, może więcej zaszkodzić, niż pomódz.

I inne niektóre uwagi autora, nie wydają nam się odpowiedniemi. Występuje przeciw noszeniu rękawiczek, co może mieć pewne hygieniczne motywa, ale też i zwyczaj

noszenia rękawiczek, możnaby poprzeć bardzo ważnymi hygienicznymi względami.

Oryginalna jest wskazówka, by dzieci z dalszych stron do szkoły idące nosiły w tornistrze parę pończoch na zmianę w razie przemoczenia nóg. Zapewne byłoby to pożądane, lecz w naszych warunkach jest ważniejsze, by każde dziecko bodaj jedną parę pończoch miało na nóżkach.

Zmusza do głębszego zastanowienia myśl, aby ludzi poszukujących pracy w pewnym zawodzie, poddawano obowiązkowemu zbadaniu lekarskiemu, czy do tej pracy bez szkody dla swego zdrowia i dla zdrowia współpracujących się nadaje.

Autor propaguje leczenie suchotników w sanatorjach i zgodnie z nowszemi zasadami medycyny obwieszcza suchoty, jako chorobę uleczalną, co trzeba jeszcze bardzo często powtarzać, gdyż dawny przesąd o nieuleczalności suchot, staje się niestety u nas zbyt często powodem zaniedbania choroby, zarówno ze strony otoczenia, jak i ze strony samego chorego, znającego swój stan i bezwątpienia nieraz przez odjęcie choremu wszelkiej nadziei, nietylko wtrąca go w posępny nastrój, ale i odporność jego obniża.

Mimo to nawet optymista, a między suchotnikami jest dużo optymistów, nie łatwo uwierzy autorowi, że do wyleczenia suchot wystarczy trzechmiesięczna kuracja w sanatorjum.

Bądź co bądź, broszurka ta jest pożyteczna i zasługuje na zalecenie szerokim kołom ludności. Powinna znaleźć się w czytelniach ludowych i w czytelniach szkolnych.

PISMA. *„Krytyka“ za maj 1902 r.* Ostatni numer „Krytyki“, jak zwykle starannie redagowany, przynosi kilka artykułów aktualnych, a pisanych sumiennie. Do takich w pierwszym rzędzie należy Kulczyckiego „Patrjotyzm i nacjonalizm“.

Autor określa wzajemny stosunek nacjonalizmu i patrjotyzmu i jednocześnie robi paralelę, między tymi u nas i za granicą. Artykuł ważny ze względu na zupełne pomięszanie u ogółu tych pojęć.

Dalej spotykamy informacyjny artykuł p. Feldmana „Pożary i zgliszcza“ o zaburzeniach w Belgji i Rosji; rozprawkę Kazimierza Kranza, „Filozofja marxizmu“, która jest streszczeniem własnych pojęć o marxizmie p. Kranza.

Z innych wymienimy p. Niemojewskiego (pani Melchiorowa Wajgel, — wzmianka historyczno-literacka), Żeromskiego (dokończenie „Godziny“), Mirandolę (poezje) i innych. Zeszyt zawiera nadto tłumaczenie poezji Angiola Orvieto przez Konopnicką.

Całość dopełniają dobre sprawozdania z książek.

d.

SZTUKA. *Wilhelm Wachtel*, młody malarz lwowianin, wystawił obecnie w naszym salonie sztuki szereg obrazów, w których usiłuje się przedstawić jako symbolista. Na jednym z nich zatytułowanym „Wiosna“ wyobrażony jest skrawek gaju z dwoma olbrzymiemi płaskonosymi sfinksami, ponad którymi na wzgórku, jakiś starzec gra na lutni. Po prawej stronie obrazu, w tle żółtego, znajduje się sylwetka młodego człowieka, z głową, opuszczoną ku ziemi. Inny obraz, ma tytuł „Melodja życia“ i przedstawia bardzo białego aniołka, jadącego na białym, tłustym koniu, wśród jakiegoś lasu grającego na skrzypcach, a obok maszerują rozmaite postacie, ze smutnemi przeważnie minami i gestami. Trzeci obraz przedstawia „drogę łez“, t. zn. dróżkę z szeregiem brzóz, niknącą poza wzgórkiem, po lewej stronie obrazu.

We wszystkich tych trzech obrazach, widać usiłowanie ujęcia abstrakcyjnej w myśli kombinację symbolów, lub alegorji. Pomimo jednak, tę okoliczność że symbole to przeważnie albo znane, albo tylko wprost do tytułu dorobione, rzeczy nie tłumaczą się dość jasno. Np. co w wiośnie, oznacza ów człowiek i jaki stosunek zachodzi między nim a starcem i sfinksami trudno stwierdzić. Można się rozmaitych rzeczy domyślać, ale będą to wszystko podkładania bardzo dowolne, z których każde może być równie dobrem, jak złem. W „drodze łez“ znowu łzy symbolizować ma niepogoda, obmokłe brzozy, wzgórek i chmury bardzo czarne. Wreszcie melodja życia, wziętą jest bardzo pospolicie: melodja więc grający aniołek, duże skrzydła i koń biały, to rzeczy dodane dla powiększenia egzotyczności. Tylko smutek postaci, kroczących przy koniu coś trochę mówi, a to, że melodja życia jest smutną.

Malowane są te obrazy z rozmysłu sposobem trochę stylizowanym, mającym przypominać symboliczne dzieła, współczesnych Niemców, Francuzów a częściowo i naszych malarzy, jak Wyspiański, Malczewski. Ale podczas, gdy u tamtych wynika to choć częściowo z tej potrzeby, żeby nie zaprzątać uwagi szczegółami, tu tego nie ma. Prymitywne malowanie jest tu dla samej prymitywności. Gdyby obrazy te były namalowane dobrze, to by nic nie zaszkodziło ich „myśli“. Myślę nawet, że gdyby np. w „drodze łez“ brzozy były rzeczywistsze, gdyby p. Wachtel pamiętał był o tem, że nawet najciemniejsze chmury, nie będą mniej świecić niż teren, toby obraz zapłakanej okolicy był lepszym. Wogóle u p. Wachtla, prymitywność budzi podejrzenie, że jest pretekstem do pokrycia nieumiejętności.

Z trzech studjów portretowych artysty: jego samego, żony i pana Z., ten ostatni, choć traktowany najbardziej szkicowo, jest najlepszym, jako, iż ma najwięcej wyrazu. Obrazy „Samotny“ i „Zdobywca“ są zupełnie bez znaczenia.

S. W.

Z Drukarni Udziałowej we Lwowie, ul. Lindego 8